



Eugeniusz Kobylecki

Il.: St. Mrowiński

SĄSIEDZI

Stary cierpiał już trzecią dobę. Nikt nie zaglądał do niego. Sąsiedzi za ścianą udawali głuchych. Dopiero gdy zaczął jęczeć zbyt głośno, Skobel zdenerwował się.

— Trzeba tam pójść — powiedział do żony.

Milczała chwilę, żując kawał mięsa. Patrzył na pracującą wytrwale szczęką. Zjadła więcej od niego.

— Służącym jesteś?! — odezwała się, łykając dostatecznie rozartną porcję. — Mógł się ożenić. Nie cze kałby teraz na cudzą łaskę. Zresztą wiesz o co chodzi.

— Pójdę jednak zobaczyć.

Dopili herbatę i wstał od stołu. Nie był dostatecznie zdecydowany. Perspektywa dużego pokoju z oknami na ulicę kusila go bardzo. Drapiąc się fraszobliwie w głowę, ruszył ku drzwiom.

— Ale z ciebie głupek! — usłyszał. — Chcesz popsuć wszystko?

— Tylko na moment. Dla sumienia...

Stary zaczął kaszleć, wierząc się na skrzypiącym łóżku. Wzięło go tak bardzo iż można było sądzić, że wypluje płucą. Cienka ściana zamiast tłumić, potęgowała kaszel.

— Uduś się — powiedział podchodząc do żony.

— Zaniósę mu choć szklankę herbaty.

Podniosła młodą jeszcze twarz. Wydawało się, że w zielonych jak wodorosty oczach wyczytała przyzwolenie. Wzięła biały czajnik z wrzątkiem.

— Zostaw! — syknęła. — Jeszcze czego...

Stary nieco przycichł. Był widocznie bardzo zmęczony. Sapał jak miech kowalski. Dzieci przestały jeść i patrzyły wyczekująco na matkę.

— Żal mi go — powiedział Skobel. — Tyle razy nas poratował. Gdy Hanka chorowała, przynosił cytryny. Albo pożyczal pieniądze, których nie zdążyliśmy oddać.

— Ale przed księdzem z koleżką zamknął drzwi na kluczek.

— Może przyjmie go teraz? — Gdy człowiek bardzo cierpi, to łatwiej godzi się z Bogiem. Nie powinien umrzeć bez rozgrzeszenia.

Zaczęła sprzątać ze stołu. Robiła to bardzo wolno szukając wyjścia dla przekonania, wobec których pragnęła być w porządku.

— Może odmówić — odezwała się wreszcie. — Najlepiej będzie, jeśli poproszę księdza po wszystkim. Po co ma przyjść niepotrzebnie?

— To nie jest to samo. Skąd wiesz, że nie chce się wypowiadać?

— Przestań wreszcie zajmować się tym niedowiarakiem! — powiedziała ostro. — Myśl lepiej o nas.

— Kiedy mnie dręczy...

— Idiota! Niedawno jeszcze prawie modliłeś się, by dostał zawału!

Nim zdążył odpowiedzieć, podała mu pełną miskę naczyni i wypchnęła do kuchni. Był to dobry i wypróbowany sposób, gdy nie mógł sobie poradzić z wątpliwościami. Zajęty przy po mywaku — myślał tylko o tym, by czegoś nie stuc i odzyskiwać równowagę.

Gdy wrócił do pokoju, dzieci mówiły wieczorny pacierz. Ukląkł przy żonie. Cieszyło go, że ich dzień kończy się w taki sposób. Wkrótce cała rodzina leżała w łóżkach. Zgasił światło i okrył się szczelnie ciężką pierzyną. Zaczął chrapać prawie w tej samej chwili. Otrzymał jednak silne szturchnięcie w bok, od razu przycichł.

Skoblowa nie mogła zasnąć. Uniosła się na łokciu i przykleiła ucho do ściany. Stary bredził głośno, lecz mimo wyjątkowej uwagi nie mogła zrozumieć co. „Inny już z dziesięć razy zdążyłby” pomyślała. „A ten się męczy i męczy”.

Stary teraz jakby cokolwiek przygasł. Poza urywanym pojękiwaniem i bulgotem nagromadzonej w gardle śliny nie mogła uchwycić nic więcej. Wkrótce to także ustąpiło. By się upewnić do reszty, nadśledziła jeszcze chwilę. Za ścianą trwał wciąż spokój. Wydawało się jej, że wypełnia cały sąsiedni pokój, czuła go coraz wyraźniej przez ścianę. Zrozumiała. Odmówiła modlitwę za zmarłych, po czym położyła się. Spała twardo do rana. Obudził ją mąż, zbierając się do pracy.

— Jak tam stary? — zapytał z pędzłem do golenia w ręce.

— Skończył. Wstąpił na mszę. Resztę załatwił samą.

Zadowolony, że cały ciężar wzięła na siebie, ucałował śpiące jeszcze dzieci i nałożył palto.

Ubrała się pospiesznie. Z odszukaną w bieliźniarce gromnicą wyszła na korytarz. Po krótkim wahanu otworzyła skrzypiące lekko drzwi.

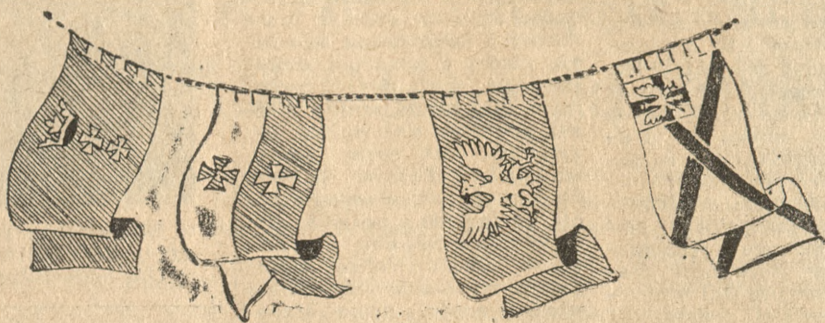
Stary siedział oparty na poduszkach i jadł duże, obrane z skórki jabłko. Kobietę stała przez chwilę nie ruchomo.

— Chciałam... — odezwała się wreszcie — chciałam pożyczyc dwieście złotych. Dziecko mi zachorowało — skłamała na prędce.

Nowy Świat

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU” * Poznań, 28 VI 1959 * ROK IX Nr 79

Polskie flagi na morskim wietrze



W dziełach poświęconych historii handlu światowego, a zwłaszcza handlu morskiego, niewiele się mówi o dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. A ci, którzy piszą o Polsce, nie wystawiają jej najlepszego świadectwa. Ekonomista francuski z połowy XIX wieku, naturalizowany Niemiec, H. Scherer pisał: „Żaden naród w Europie nie objawił tak mało zdolności do handlu. Nie miał on nigdy wielkiej żeglugi. Polska nie umiała wyzyskać w interesie swego panowania handlu morskiego Hanzę, który dostał się w jej ręce przez zdobycie Prus Zachodnich w 1466 r. i Inflant w 1583 r., a przynajmniej zdobyć sobie na Bałtyku stanowiska równego innym państwom nadmorskim. Czym by się mogły były stać w innych rękach porty Gdańsk i Elbląg jako ujście takiej krainy, która na południu sięgała Morza Czarnego a na północy Bałtyku.”

Gdy Turcy zdobyli w 1453 r. Konstantynopol i wdarli się do Europy, zmieniły się drogi handlowe Polski, które dotychczas szły z Niemiec, Czech i Moraw — przez Kraków i Lwów na wschód. Punkt ciężkości handlu przeniósł się bar dziej na północ. Do większego znaczenia doszła wówczas Wielkopolska, która w XVI wieku uruchomiła transport produktów rolnych i leśnych przez Wisłę do krajów zamorskich.

Przed Polską stanęły nowe zadania i nowa rola w dziejach Europy, co pozostaje w związku ze zmianą struktury społecznej Polski tj. przeobrażeniem się stanu rycerskiego w szlachecko-ziemian. Przede wszystkim zniknęło coraz bardziej u szlachty uprzedzenie do handlu, jako rzekomo niegodnego stanu rycerskiego: zie-

mianie zboże wysyłają do Gdańska Wisłą.

Nie wyjaśniona dotąd pozostaje sprawa spławu zboża przez Wartę. Nie mógł to być spław znaczny, gdyż nad Wartą nie było celnych komór wodnych. Zboże poznańskie szło na zachód przeważnie drogą lądową — głównie przez Wschowę. Ta droga dla Poznańskiego była dogodniejsza niż lądowa. Nie jest wykluczone, że część transportów wielkopolskich szła jednak drogą morską.

Handel Polski skupiający się dawniej na południu kraju, zo gniśkował się później w miastach nadmorskich Bałtyku. Z miast tych Gdańsk i Elbląg, jako leżące u ujścia tej samej rzeki, choć na przeciwnych krańcach jej delty, odegrały w handlu morskim z Polską wybitną rolę. Miasta te były w ustawicznej waśni o dostawy z Polski. Doszło do tego, że gdańszczanie przy pomocy Duńczyków, napadli zbrojnie 1577 r. na Elbląg, który stawał się coraz groźniejszym dla nich konkurentem. Elbląg w dziejach Polski był bardziej życzliwy temu państwu niż butny i bogatszy Gdańsk. Elbląg, przy łączony do Polski po wojnach krzyżackich, nie tylko zatrzymał dawne przywileje ale użył skał rozszerzenia ich od Kazimierza Jagiellończyka. W wier ności Polsce wytrwało miasto do końca jej upadku, a dzieląc jej los w pierwszym rozbiórce 1772 r. dostało się Prusom i przy nich też pozostało.

Nie brak też było dowodów przyjaźni ze strony Gdańska, choć bardzo wyrachowanej. Liczne wojny szwedzkie dały mu okazję do spłacenia długu wdzięczności wobec Polski, której zawdzięczał swój rozwój.

Każde z tych miast posiadało własną flotę handlową. Statki ich używały bandery, pod którą miasto prowadziło handel zamorski. Bandery były znakami rozpoznawczymi dla kupców zagranicznych, którzy z tymi miastami utrzymywali stosunki handlowe i stanowiły znaki ochronne dla eksportowanych towarów.

Bandera miasta Gdańska była koloru czerwonego z dwoma białymi krzyżami i koroną polską nad nim. Często jednak za miast krzyżów używano koron królestw: polskiego, węgierskiego i szwedzkiego, z którymi to państwami miasto Gdańsk prowadziło ożywiony handel. Elbląg pielegnował kolory narodowe: biały i czerwony z dwoma krzyżami umieszczonymi w ten sposób, że krzyż biały znajdował się w polu czerwonym, natomiast drugi krzyż czerwony był w polu białym. Szczecin posiadał banderę zbliżoną do Elbląga z tą różnicą, że inne było następstwo kolorów: biały był u dołu, czerwony w górze, krzyże natomiast zastąpiono kwadratami. Miasta śródlądowe, jeżeli nie posiadały własnej bandery używały bądź to narodowej, bądź też królewskiej. Bandera narodowa przedstawiała białego orła w polu czerwonym. Bandera królewska, również czerwona, zastępowała orła białą Pogonią albo tylko jej częścią tj. ręką trzymającą miecz. Oprócz wyżej wymienionych bander powszechną w użyciu

była jeszcze bandera ogólna, pod którą pływały statki handlujące zbożem. Utrzymana była w kolorze białym, po jej przekątnych przeciągnięto niebieskie pasy. W prawym górnym rogu był kwadrat z krzyżem także niebieskim, a nad nim rozpięty orzeł polski.

Prócz miast nadmorskich posiadały bandery miasta takie jak Poznań, Kraków i Toruń, podobnie jak dziś Czechosłowacja, Węgry i Szwajcaria, choć nie są krajami nadmorskimi, posiadają własną flotę handlową, żeglującą pod flagami tych państw.

Henryk Barański

„Porwali mnie nieznani ludzie...”

Kroniki milicyjne notują czasem wypadki bardzo dziwne. Relacjonujemy jeden z nich.

Działo się to w kilka tygodni po porwaniu Bogdana Piaseckiego. Wypadek ten wstrząsnął całym krajem. Toteż nie dziwne go, że pojawienie się małego chłopca w jednym z poznańskich komisariatów MO wywołało nie małą sensację. Chłopiec ten oświadczył, że również jego porwali nieznani sprawcy, którzy go na dodatek torturowali...

Naczelnik wydziału był podniecony.

Takiej sprawy nie notowaliśmy jeszcze nigdy na naszym terenie!

— A gdzie jest chłopiec? — Na miejscu, zatrzymaliśmy go, może będzie potrzebny. Chłopiec jak chłopiec, mógł mieć lat dwanaście. Najadłeś się strachu? — O tak, i bólu. Przypalałi mnie zapalkami — dodał rumieniąc się wstydliwie.

— Bardzo bolało? — Najgorszy był ten wysoki — on to robił i mówił, że jeżeli nie napiszę listu do domu, to mnie utopi jak kociaka. — A dlaczego nie napisałeś? — Bo mamusia by się martwiła.

— A ty kochasz mamusię? — Bardzo. Milicjant poczęstował malca cukierkami miętowymi i współczując kiwał nad nim głową. Spod rozpiętej koszuli widać było bandaż opasujący mu piersi.

Wycinek skóry został już posłany do Zakładów Medycznych Sądowej w Poznaniu. Wynik analizy brzmiał! „Skóra oparzona zapaloną zapalką.” Tego w Polsce jeszcze nie było.

RELACJA

Chłopiec został porwany z Poznania w chwili kiedy wracał do domu. Na jednej z bocznych uliczek jacyś mężczyźni zarzucili mu worek na głowę i wpakowali do samochodu. Ponieważ się rzucił, ktoś uderzył go w głowę tak, (Dokończenie na str. 3)

Jadwiga Badowska

JASKÓŁKI

Botticellowska Le Printemps w kawiarni u Lampego

wyrasta z abstrakcyjnej ściany w klipsach z jaskółkami

(wplątały się skrzydłami w rude włosy fale na deszcz śmigają)

Aleksandra pije w lampce wina wodę

rusalczane brwi wygina wstępuje do drugiego brzegu przez błękitny dym i słowa do niego do niego

(on zarzuca wędkę o świtanu

parują lasy mgłami

pachnie igliwie)

Aleksandrę bardzo dziwią nasze wiersze woli jaskółki i świerszcze



NA RAZIE PŁYWA W STARYM KOSZU. ALE ZA KILKA NAŚCIE LAT — KTO WIE... Foto — Henryk Dera

Trzymajcie się morza...

„Przyszlśmy na to jalone wybrzeże z cudownego losów użycia, przyszlśmy jako spadkobiercy Krzywostego druzyny, ona poprzez lasy przerabala pierwsza drogę... Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy krzywdy... Przynosimy dobro i prace”.
(Zeromski, „Wiatr od morza”)

Żółwie od zarania cywilizacji stawali przed bezmiarą wód z powagą zadumy; widok bezkresnego horyzontu dostarczał wtku do filozoficznych dociekań; nad morzem rodziły się systemy filozoficzne ludów starożytnego Wschodu i nieśmiertelnych natchnień Greków. Morze pchnęło Fenicjan wokół Afryki i kazało przekroczyć równik w wyprawach handlowych. Wokół południowego Mediteranu (Morza Śródziemnego) wyrosła najsilniejsza militarna potęga starożytności — Rzym, który nad tym morzem stworzył ideę „mare nostrum”. W średniowieczu osady miejskie Piza, Genua, Wenecja, korzystając z położenia na szlaku dróg handlowych, urosły do godności samodzielnich i najpotężniejszych republik.

Nad północnym Mediteranem (Morze Bałtyckie — jest również morzem śródładnym), gdzie pojedyncze miasta nie potrafiły tej roli osiągnąć, powstał związek 27 grodów, które próbowały rywalizować z krajami macedońskimi, jak to robił i Gdańsk, aż go siła oręża polskiego do posłuchu przywoływać musiała.

Morze stało się źródłem mocarstwowej potęgi Hiszpanii XVI wieku, Niderlandów, Szwecji i Rosji w XVII i XVIII wieku. Trzy wieki wytrwałych wysiłków narodu angielskiego, poczynając od unii Anglii i Szkocji w roku 1603, złożyły się na późniejszą potęgę Imperium Brytyjskiego.

I odwrotnie — potęga państwa załamuje się z chwilą utraty znaczenia na morzu. Bitwa pod Akcjum uczyniła ze starożytnego Egiptu już tylko prowincję rzymską, Turcy przestali być straszkami Europy po zniszczeniu ich floty pod Lepanto. Ekspansja polityczna Hiszpanii i jej współzawodnictwo z Anglią, załamuje się po zniszczeniu Wielkiej Armady; kres dążeniom imperialistycznym Francji kładzie bitwa pod Trafalgarem. Dlatego Dymitr Smolokowski, niestety, bezskutecznie ostrzegał nas w końcu XVI stulecia, że: „Kto ma państwo morskie, a go nie używa, albo da sobie wydzierać, wszystkie korzyści od siebie odda, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego — niewolnikiem się staje, z bogatego — ubogim”.

Dlatego Staszic w chwili politycznego upadku Polski, rzuca hasło: „Trzymajcie się morza”.

Wypływamy na wielkie szlaki morskie pod polską banderą na statkach, w polskich stocznich budowanych, które coraz częściej zaczynają zdobywać sobie uznanie obcych państw. Programy nauczania winny również pogłębiać w społeczeństwie „wiedzę o morzu”, która w społecie innych przedmiotów szkolnych stworzy chętnie przez młodzież adoptowaną korelację wiedzy o potężnym, dynamicznym nastawieniu życiowym. Ale także trening morski, powinien stać się tak popularnym, jak nasza lądowa siatkówka. Za nim dopiero idzie znajomość obracania żagli, naciągania i zwijania lin, wyostrenie zmysłów, usprawnienie mięśni i rozwój władz psychofizycznych do zadań utrwalających nasze stanowisko na morzu.

Morze jest pierwszorzędnym wychowawcą ludzi: uczy bowiem codziennego wysiłku, gdyż w każdej chwili grozi zalewem fali, burzą lub szturmem. Praca na morze jest zna komitą szkołą solidarności: w obliczu często grożącego niebezpieczeństwa tylko wspólny wysiłek i podporządkowanie własnej woli potrzebom ogólnego dobra, niweluje gradację stopni, z zachowaniem jednego prawa gdy chodzi o przywileje: kapitan ostatni opuszcza statek.

Gdy burza łamie maszty, odrywa ręce od steru i lin, fala grozi zalewem, a wir zagląda, nie można czekać, należy działać i to natychmiast, roztropnie. Dlatego „kto raz na morze wypłynął, na lądzie umie żyć”.

W dążeniu do pozyskania morza tkwi również najpotężniejsze źródło „wszechświatowego poznania i porozumienia narodów”. „Miejsca pod słońcem będzie więcej i lepiej będzie wyzyskane — pisał profesor Romer — im więcej narodów uzyska wolny do morza dostęp, a te narody, które go nie mają, przeszkód w wykonywaniu tego prawa napotykać nie będą.”

Dr Wł. Mielcarska



W Odwachu przy Starym Rynku otwarto Poznański Salon Wiosenny, gdzie nasi plastycy pokazali swój roczny dorobek. Najbardziej reprezentowany jest olej. Oto reprodukcja obrazu Ireny Dzisiejskiej „Martwa natura”. (n)

TO I OWO

„Do widzenia — do jutra” oraz „Niewinni czarodzieje” — oto tytuły dwóch nowych filmów, które powstają w zespole realizatorów filmowych „Kadr” w Łodzi.

Grupa młodzieży studenckiej organizuje własny teatrzyk i na tym film ma opowiedzieć o wielkiej miłości, przeżytej przez głównego bohatera. Realizować „Do widzenia — do jutra” będzie młody reżyser — Janusz Morgensztajn; główną rolę pierwszoplanową zagra Zbigniew Cybulski.

Realizatorem drugiego filmu jest Andrzej Wajda. „Niewinni czarodzieje”, to historia, z której czerpią z przeżyć parę studenckiej. Przedstawia ona niewiasty, pełny pozostawia stosunek pewnej części młodzieży wobec życia i wobec uczuć.

W Kopenhadze odbyła się niedawno premiera baletu pod tytułem „Penicylina”, do którego libretto napisał pewien znany lekarz duński. Oryginalny ten balet przedstawia walkę organizmu ludzkiego z atakującymi go bakteriami ciężkiej choroby. Muzyka utrzymana jest w rytmie, przypominającym uderzenia serca. Tancerze symbolizują ciakła krwi, baletnice zaś wyobrażają bakterie chorobotwórcze. Dekoracje dostosowane są do całości, wyobrażają bowiem proces odradzania się zniszczonych przez chorobę tkanek.

O „GRUPIE WARSZAWSKIEJ” pisze z Warszawy Karol Rzemieniecki

„Chcemy szukać dróg rozwiązań wielu dramatycznych problemów moralnych i społecznych człowieka wieku atomów i lotów międzyplanetarnych” — głosi wstęp do ideologii nowej grupy twórców (oczywiście — młodych twórców) złożonej z kilkudziesięciu warszawskich literatów, artystów, kompozytorów i architektów.

Można jedynie pochylić czoła przed tak ogromnym zakresem twórczych aspiracji. Wprawdzie tak samo sformułowany cel może być z powodzeniem treścią pracy np. u społecznionego handlu, który też powinien starać się o rozwiązywanie wielu dramatycznych problemów społecznych człowieka wieku atomów, jak chociażby problemu kupna chleba w przedświąteczną sobotę — ale mimo ogólnikowej sentencji wiadomo przecież o co chodzi.

Zespół „Grupa Warszawska” powstał w kwietniu bieżącego roku. Za sobą ma już głośną (prasa, radio i Polska Kronika Filmowa) dyskusję nad sztuką Dürenmatta „Romulus

Wielki” (dyskusja zwała się szumnie: „Sąd nad Romulusem”), wieczór poezji współczesnej, połączony z udanym recitalem, a także dyskusje o młodej literaturze i pierwsze spotkania środowiskowe. W planie, bądź w mniej lub bardziej skrytykowanej projekcie na przyszłość, jest zorganizowanie „kabaretu literackiego” (prosił, by nie nazywać tego „kabaretem” — ale nie ma rady, nie będzie to ani klub, ani świetlica; ani zespół objazdowy — więc jak to ostatecznie nazwać?). A więc wieczory prozy i poezji w połączeniu z odpowiednią oprawą muzyczną i plastyczną — w zakładkach pracy, w owianych tęsknotą do życia klubach i nudnych świetlicach.

Poza tym — klub artystyczny, w którym codziennie będzie jakaś strawa duchowa — od wystaw współczesnej plastyki i projektów architektonicznych, wieczorów poetyckich, dyskusji — do kombinowanych programów estradowych.

Następnie — własna biblioteczka, zapewne z własną obwolutą na książkach i własnym exlibrisem, a już na pewno — z własnym programem literackim.

Oprócz tego — Korespondencyjny Klub Literacki (już czynny), trudniący się nader niewdzięczną sztuką wyławiania młodych talentów, a więc tym, co niezbyt powiodło się kołom młodych przy ZLP.

Co jeszcze? Naturalnie — kontakty i spotkania. Z pisarzami, działaczami, politykami. „Grupa Warszawska” chce współpracować ze wszystkimi pokrewnymi w profesji zespółami, zwłaszcza bliskimi jej ideowo. Pierwsze „dzień dobry” usłyszał od warszawskich twórców poznański „Wierzbak”, „Grupa Warszawska” nawiąże też kontakt z pisarzami innych krajów. W sumie — nowy eksperyment kulturalny, któremu — tradycyjnie sto lat!



NIEZNAJOMI?

Mała to książeczka, w bar dzo skromnej szacie, a przecież powitać ją należy jak najserdeczniej. To już drugie pojawienie się jej na półkach księgarskich; pierwszy raz wyszła z druku w r. 1938. Przyjęcie miało znakomite, witał ją i językoznawcy i literaci. Wybitny znawca gwary wielkopolskiej dr Adam Tomaszewski pisał o autorce „Nieznajomych” — „...autorka uwypukliła najsłabsze cechy naszej mowy (gwary — mój przyp.) nie popełniając przy tym, co również na uznanie zasługuje, żadnych błędów. Słownictwo oraz struktura zdaniowa są także bogate, nawet fachowice może się wiele szczegółów dowiedzieć.” Podkreślić trzeba, że dzięki Jolencie Brzezińskiej gwarą południowo-wielkopolską weszła pomiędzy dzieła K. Przerwy Tetmajera (Podhale), Al. Majkowskiego (Kaszuby), Zegadłowicza i Jasickiego (Beskid Śląski); St. Młodożeńca (Lubelskie) — tym samym wystawiając sobie trwały „dowód osobisty”. Bez „Nieznajomych” nie byłoby pełen, przygotowywany przez PAN, „Słownik gwar polskich”.

A sprawa walorów literackich? Recenzenci przedwojenni (M. Urbanowicz z Leszna H. Kuminek z Bydgoszczy, Al. Rogalski z Poznania) wyrażali się o „Nieznajomych” z największym uznaniem. Jolenta Brzezińska „nie idealizując swoich bohaterów pokazała ich takimi, jakimi są — pisał wówczas Al. Rogalski — bez upiększeń i bez sentymentalizmu. Książka p. Brzezińskiej „bierze” własnie czytelnika swoim realizmem, swoją surowością i szczerością... płaskość i naderłość podchwyciła z zimną, prawie o satyrę potracającą obserwację.

Piszę o tym dlatego, że wstęp dr. Aleksandra Rogalskiego do obecnego wydania jest w dużej sprzeczności sam ze sobą i z recenzją sprzed 21 laty. Nie wiem, czy można stawiać jako zarzut na przykład to, iż tomik zawiera mały światek („il piccolo mondo”), tak charakterystyczny dla wszystkich niemal miasteczek przedwojennych. Skąd wzięło się wytknięcie braku humoru, „swoistej kultury estetycznej” i „wzduku językowego”? Znajac dialekt południowo-wielkopolski i objęte nim wsie i miasteczka, mogę zapewnić, że Jolenta Brzezińska przy ominięciu „wulgaryzmów”, dała jak najwierniejsze obrazy życia i sposobu myślenia ludzi lat dwudziestych i trzydziestych. A przy tym poprzez wszystkie kartki przewija się ujmująca nuta serdeczności, zrozumienie prostego człowieka, biego przez układ stosunków społecznych, często głodującego, a przecież kierującego się, pozornie prymitywną, ale głęboko humanitarną etyką.

Czytelnik, który weźmie „Nieznajomych” do ręki i zna opisywane w niej przedwojenne środowisko, sam osądzi, kto ma rację.

Książka ta winna znaleźć się we wszystkich bibliotekach wielkopolskich. Dobrze byłoby, gdyby w liceach uczniom zwrócić na nią uwagę. Już przed wojną domagał się tego wspomniany dr A. Tomaszewski.

I na zakończenie, słowa uznania dla linotypistów i korektorów, którym w udziale przyszło wykonać, bodajże najtrudniejszą rzecz — ustrzec książkę od błędów.

J. Pieprzyk

*) Jolenta Brzezińska — „Nieznajomi”, Wydawnictwo Poznańskie, 1959 r. Str. 137. Cena 10,— zł.

Tato ma siwiejące skronie, mama niechętnie wypełnia rubrykę „wiek” — zaś tzw. lato rośnie? Jedno nosi obowiązkowo aktówkę, drugie szkolną teczkę z fasonem pod pachą, trzecie — jeszcze bez buntu — tornister na plecach.

Tato pracuje grubo ponad ustaloną normę, doba mamy jest dziwnie elastyczna. W ramach 24 godzin potrafi zmieścić swoją 8-godzinna nocną pracę zawodową i wypełniać obowiązki gospodyni i kuchar ki, wychowawczyni i praczki, palacza i higienistki, i — co najgorsze — przeprowadzać niemal codziennie „akcję pa cyfikacyjną” na terenie domu. A jeszcze strony wnoszą coraz to pretensje: „ja opowiadam, a mamusia mnie nie słucha!”

A jednak, mimo tak szczer nie wypełnionego tygodnia, gdy zbliżyła się niedziela, mama wyciągnęła 5 plecaków, 5 chlebaków, dresy, szorty i inne sfatygowane utensylia turystyczne. Zaczęła spisywać na karteczce, co trzeba kupić i co do rajdu przygotować. Towar zyski pracy kiwały głowami: „że też ci się chce! Kilkanaście kilometrów pie-cho-ta! spać na słońcu!”

No tak... Spanie do dziesiątej, po obiedzie spacer w tempie pogrzebowym, a wieczorem śledzenie perypetii Ma tysiąków lub wgniatanie fote li przed telewizją — oto główne punkty niedzielnej poznaj skiego dnia. Rodziny ożywia ne bardziej sportowym du chem odwiedzają w niedzielę Zoo, wiosną po nurtach so łackiego stawu, rozkładają ko cie nad Wartą lub Rusałką. Do piero, kiedy lato zapanuje w pełni, wyjeżdżają nawet do Puszczykowa. Kiekrza czy Osowej Góry. Ale czy tylko na

tych dwóch miesiącach w roku i tylko na Puszczykowie kończy się świat? Czy urok leśnej polany jest tylko wtedy dla nas zrozumiały, gdy go za lewają potoki słońca?

Wyobraźcie sobie pochmurny dzień. Nie, nie w Poznaniu. Na końcu sosnowych igieł wiszą kropelki deszczu. Z prze raźliwie zielonej trawy wychy lają żółte, liliowe, niebieskie główki — leśne kwiatki. A nad tym wszystkim unosi się niezapomniany zapach żywicy, o dartego z kory drzewa, kwia

Wśród druzyn o najrozmaitszych nazwach znalazła się „Drużyna Mamy i Taty”.

Na stacji w Podlesiu, który ry był startem, tata wraz z innymi kierownikami druzyn udał się na odprawę, urzędowałą w kolejowej poczekalni. Wrócił z ważną miną, instrukcjami, informatorem, wycin kiem mapy z wyznaczoną trasą, a przede wszystkim z 5 żółtymi naszywkami, które zaraz się na skafandrach przyszywa ło, aby zmanifestować przyna leżność do rajdu.

DRUŻYNA MAMY i TATY

tów, mchów, gnijącego igliwia i listowia. Uniesiesz głowę i widzisz wśród kołyszących się czubów sosen wolno przeta czające się chmury. Ciszę leśną, ciszę której z niczym porównać nie można i żadnymi słowami określić, przerywa od czasu do czasu nieśmiały świergot ptasi.

Wszystkimi porami ciała ula tuje miejski kurz, gwar, zdenerwowanie i pospiech tygodnia, wchłaniaasz w siebie balsam lasu — czujesz się szczęśliwy.

Istnieje w Poznaniu instytu cja, organizująca najmlsze spę dzenie dni świątecznych na wolnej przestrzeni natury. Jest nią oddział poznański PITK, który w osobie inż. St. Urbańskiego zorganizował m. in. wspaniały rajd do Krzyża.

Po dojściu do Sarbinowa czekał na turystów nocleg w miejscowej szkole na słońcu. Zanim jednak przyjemność ta spotkała dzieci — była kawa z kotła, a potem „ognisko”, ale tylko nominalnie (bo deszcz padał) w stodole. Poza tym było wszystko tak, jak przy normalnym ognisku i śpiewy i deklamacje, monologi i skecze przez uczestników rajdu ad hoc przygotowane. Ludność miejscowa tłumnie przybyła stanowiąc wdzieczne audytorium. Wreszcie tradycyjny śpiew „Idzie noc...” zakończył wieczór.

Rano deszcz pada beznadziejnie. Kierownik trasy proponuje słabszym odwiedzenie ciężarówką wprost do Krzyża, lecz nie znajduje amatorów. Koło dziesiątej deszcz ustaje i choć niebo ołowiane — miny weso

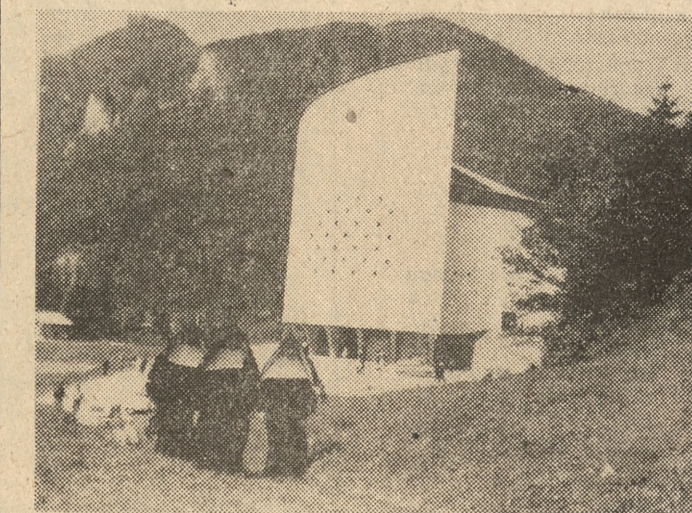
łe i pogodne, druzyny z pięknymi spakowanymi plecakiem wychodzą na szlak. Jedni idą przed siebie — drudzy wolniej, ci łąwają — tamci gęścio, ze śpie wem i na milczaco.

Po godzinie, idziemy już sami. Krzyś przesnurowywał but, Ewa „musiała” skok w bok. Tato fraszoliwie ogłada mapę: w lesie tysiące ścieżek, duk tów, skrótów, napisów ża dnych, kompasu nie mamy — słońce za chmurami. Idziemy znowu godzinę — deszczu tro che ślapi — jemy śniadanie. Humory wisielczo wesołe. Mama pokpiwa „no i na co się zdała ta podchorążacka topo grafia?” Wreszcie las się prze rzedza — w dole wybiłskują jeziora. Radość — ożywienie. Tato raptem już wszystko wie: naturalnie, to jezioro Lubie wo! Nic to, że na naszej trasie Lubiewa nie było; nie to, że chcąc skorygować błąd trze ba kilka kilometrów dodać — wszystko opłaca piękny widok. A zresztą, co to za wycie czka, gdyby wszystko szło pla nowo! Po drodze spotkamy jakąś nieznana obozującą dru żynę, ale z żółtymi naszywkami; witamy się jak starzy zna jomi — częstują gorącą kawą.

Kiedy wczesnym popołudniem docieramy do Krzyża, owszem nogi są trochę odcza ła, ale humory niezmacone.

Póki tatuś nakręca synkowi kolejkę, póki mamusia szyje sukienki Małgosinei lalce, wia domo: zajmują poczesne miej sce w ich świątku. Z czasem życie usuwa rodziców coraz bardziej na bok. Złudzeń nie trzeba pielegnować — nie do trzymamy kroku pedzącą młodo ścią. Ale nie należy zbyt wcześnie przechodzić na pozy cję kury, biegającej wokół stawku.

Krystyna Zgrzebnicka



Fotoreporter znakomicie uchwycił kontrast między nowoczesnym budynkiem a postaciami trzech zakonnic. Budynek ten, to teatr w Erl w Tyrolu (Austria), gdzie od 1633 roku tradycyjnie odbywają się widowiska pasyjne. Widowiska te zostały wznowione w czerwcu bież. roku po 26-letniej przerwie spowodowanej pożarem poprzedniego gmachu teatralnego. Foto — CAF

Mówi SP 7 LA!



drasem z Indii, mieszkańcem nowo utworzonego państwa Ghana (Afryka) — kolegą Tommy. Rozmawialiśmy z krótkofalowcami z Kanady, USA, Włoch, Syrii itd., nie mówiąc już o pozostałych wszystkich krajach Europy.

— Jakże wywiezie pan najmilsze wspomnienie z pracy stacji na MTP?

— Pewnego dnia zgłosił się pracownik firmy „Telefunken” — amator krótkofalowiec kol. Gerhard. Oglądając stację zainteresował się jaką fabryką w Polsce produkuje takie aparaty. Nie chciał wierzyć, że jest to robota amatora — krótkofalowca. Oczywiście nie obyło się bez rozmowy, którą przeprowadził z kolegami z Niemiec. Już następnego dnia po powrocie do Niemiec nawiązał z nami łączność. Na jego sygnał zgłosiło się wiele stacji niemieckich. Mikrofon powędrował z ust do ust. Kiedy głos zabrał Gerhard, opowiedział on kolegom o swoim pobycie w Poznaniu, o tym, jak go serdecznie tu podejmowano. Dodam, że Gerhard napisał artykuł do niemieckiego pisma fachowego „Das DCKTC”, w którym opisał poznańską stację, jej walory oraz polską gościnność.

— Tereny MTP opustoszały. Zamilkła również stacja SP 7 LA. Jedno jednak pozostało: przyjaźń zadzierżniona na MTP — szczera, niewymuszona, nawiązana na odległość tysięcy kilometrów, na falach eteru.

Florian Maciaszczyk



I co na to młodzi?

71-letnia Zeddie Bunker z Palm Springs (Kalifornia — USA) jest osobą naprawdę niezwykłą. W 65 roku życia uzyskała ona licencję prywatnego pilota, a obecnie w wieku lat 71, odbyła lot samolotem o szybkości ponad-dźwiękowej. Zezwolenia na lot udzielono po przeprowadzeniu ścisłych badań. Wykazały one, że pani Zeddie Bunker nadaje się do lotów tak samo dobrze, jak młodzi piloci.

Fot. — CAF

Nowości z kraju i ze świata

Pewien koloński lek — nowoczesną metodą leczenia kataru, polegającą na braniu gorących kąpiel, naświetlaniu grzejnymi żarówkami itp.

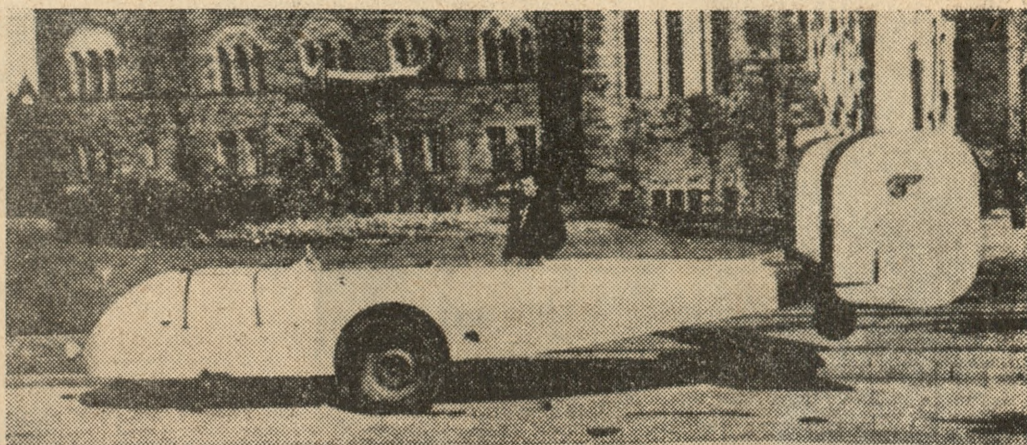
W czasie prostego zabiegu pacjent spokojnie czyta gazetę, lub, jeśli chodzi o osobę rodzaju żeńskiego, może „robić” na drutach.

Przyrządek podobny jest do fryzjerskiej suszarki; posiada ogrzewacz powietrza (35—54 stopni C), regulowany według wskazań lekarza lub własnej odporności, wentylator niewielkiej mocy oraz specjalną maskę, którą nakłada się na usta i nos. „Kataro-wentylator” pozwala przez czas dłuższy (godzinę, dwie, trzy) wdychać — świeże, ciepłe powietrze, co działa leczniczo na błonki słuchowe.

Na katar pochodzenia grypowego lub inne formy kataru o ostrej, zakaźnej formie — metoda ta nie pomaga. Słabą stroną urządzenia jest to, że nie wszyscy mogą z niego korzystać. Ludzie chorzy na serce lub cierpiący na zaburzenia w krwioobiegu — nie mogą wentylować nosa ciepłym powietrzem. (J)

*

Pracownicy Instytutu Medycznego w Dublinie odkryli lek zapobiegający zarażeniu się gruźlicą. Tak przynajmniej można sądzić, obserwując próby na zwierzętach, które po zażyciu tego leku wykazywały odporność nawet na śmiertelne dawki aktywnych bakterii gruźliczych. Nowy lek uzyskano podczas doświadczeń z barwnikami fenazynowymi, używanymi do barwienia bakterii przy badaniach mikroskopowych. (K)



„Motolot” inż. Stegawskiego i inne SAM-y stają do konkursu

Na naszych drogach i ulicach pojawiają się od czasu do czasu samochody ze znakiem SAM budzące żywe zainteresowanie przechodniów.

Co oznacza ów znak „SAM”? Są to samochody, wykonane przez konstruktorów-amatorów. Niektóre wykonane przy pomocy prostych narzędzi — nie ustępują pojazdom fabrycznym.

Ta SAModzielna produkcja samochodów staje się w Polsce bardzo popularna. Toteż niezwykle interesujący jest ogłoszony w połowie marca bież. roku przez Wydawnictwa Komunikacyjne konkurs na najciekawsze pojazdy mechaniczne, wykonane przez konstruktorów-amatorów.

Jak nas poinformowali organizatorzy, na konkurs nadeszło 180 zgłoszeń. Komisja rzeczoznawców zakwalifikowała 65 spośród nich do ostatecznych eliminacji, które odbywają się dziś w Warszawie.

Wiele pojazdów zaskakuje oryginalnością. Dużą sensację wzbudził na przykład 3-kołowy pojazd zbudowany przez inż. Stegawskiego z Poznania, nazwany „Motolotem”. Przy szybkości 67 km/godz. jego przednie koło unosi się w górę; jadąc na pozostałych, pojazd może rozwinąć szybkość do 169 km/godz. (p. zdjęcie).

Inny konstruktor — amator, kpt. Kędziora z Lublina karo-serię do swego samochodu wykonał ze starych zbiorników lotniczych i użył kół od helikoptera.

Wydawnictwom Komunikacyjnym za zorganizowanie tego pierwszego w Polsce i bo-

daż w Europie konkursu SAM-ów należą się słowa uznania. Niewątpliwie przyczyni się on do pobudzenia myśli technicznej i może wpłynąć na przyspieszenie postępu technicznego w motoryzacji.

Zjednoczenie Przemysłu Motoryzacyjnego zainteresowało się niektórymi konstruktorami-amatorami i wyraziło chęć zatrudnienia ich w swoich zakładach.

M. I.

„Porwali mnie nieznani ludzie...”

(dokończenie ze str. 1)

że stracił przytomność. Nie wie jak długo jechał. Obudził się w ciemnym pokoju, skrzepowany. Później przychodzili do niego jacyś ludzie, których do kładnego rysopisu podać nie może ponieważ ze strachu nie zapamiętał ich wyglądu.

Przez dwa dni był w tym samym miejscu. Trzeciego dnia rano zjechał samochód, do którego go wsadzili jeden usiadł przy kierownicy, a drugi obok niego. Nie zwracał uwagi dokąd jadą — myślał tylko nad tym jakby się wydostać z rąk oprawców.

Kiedy dojeżdżał do miasta X, chłopiec zauważył, że siedzący obok niego bandyta zasnął. Wykorzystał więc ten moment, otworzył drzwi i wyskoczył z pędzącego samochodu. W pierwszej chwili przypuszczał, że będą go ścigać, ale kierowca tylko dodał gazu i zniknął. On zaś zgłosił się na pierwszy posterunek MO. Poza tym nie było żadnych danych. Pozostała tylko stara, dobra w powieściach kryminalnych mniej jednak przydatna w praktyce — metoda dedukcji.

GDZIE SĄ BANDYCI?

Wszystkie komendy powiatowe zostały powiadomione, by

zatrzymać do wyjaśnienia każdego samochodu marki „Fiat” pomalowany na czerwono. Zatrzymano trzy takie wozy, ale chłopiec który twierdził że go doskonale pamięta (narysował go nawet) nie rozpoznał wśród nich tego którym jechał.

Najlepsi wywiadowcy z całego województwa szukali według skąpych rysopisów podejrzanych...

Jeżdżono z chłopcem po wszystkich drogach w nadziei, że za pamiętał dom z którego go wyprowadzono. Raz nawet zdawało mu się, że rozpoznał miejsce, ale po szczegółowych oględzinach okazało się, że się pomylił.

W końcu odstawiono chłopca do domu, ale robota nie ustawała ani na chwilę.

Dopiero na trzeci dzień udało się pewnemu wywiadowcy ustalić, że kilka dni temu widziano takiego chłopca przechodzącego drogą w sąsiedniej wiosce. Sprzedawca sklepowy, po okazaniu mu zdjęcia stwierdził, że chłopiec kupował u niego ciastka i cukierki. Zwrócił na niego uwagę gdyż wioska leży na odludziu i nie codziennie przychodzi do sklepu ktoś obcy. Tak krok po kroku przesledzono drogę jaką przebył chłopiec z Poznania aż do miasteczka X.

A WSZYSTKIEMU ZAWINIŁY... WAGARY

Wyniki były rewelacyjne.

Okazało się, że kilka dni przed pobycem w MO chłopiec wagarował. W krytycznym dniu matka dała mu przeszło sto złotych, żeby wykupił sukienkę od krawcowej. Chłopiec poszedł prosto na dworzec, kupił bilet na najbliższy pociąg i pojechał w świat. Przez trzy dni włóczył się po drogach, syział w pustych szopach i kopcach siana. Ukrywał się przed milicją w obawie, że ta jest już powiadomiona przez rodziców o jego zniknięciu. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nie może to trwać wiecznie. Postanowił zrobić coś takiego, żeby wszystko inne poszło w niepamięć. Kupił więc pudełko zapalek i zdobył się na bohaterstwo nie lada. Oczywiście — mama, przerażona wersją porwania, nie myślała o wymówkach i karze za wagary. Jak jednak było później, kiedy cała sprawa wydała się — nie wiadomo...

A. W. BADOŃ

CHRISTOFORO POLACCO

morski wilk XVII wieku

Wielbili go holenderscy żołnierze, czcili Indianie brazylijscy, podziwiali Hiszpanie. Na jego cześć bito medale pamiątkowe, drukowano mapy Brazylii, ozdobione jego herbem, wzniesiono mu pomnik w Pernambuco. Tylko w ojczystym kraju nie wystawiono mu pomnika.

Długo było głucho w ojczyźnie o największym bodaj Polaku na morzu — Krzysztofie Arciszewskim (1592—1656), znanym w historii żeglugi światowej jako Christoforo Polacco lub Christoforus van Artichau. Historycy polscy niechętnie wspominali o tym arianie zbuntowanym, przeciwnie — Zygmuntowi III, który opuścił musiał kraj, aby wbrew intencjom króla u obcych potencji rozślawić imię Polski. Już po raz drugi opuszczał ojczyznę. Pierwszy raz wygnany był w 1623 roku za zemstę na palestrancie Brzeźnickim za krwawą krzywdę rodzinę. Odpłynął do Brazylii, gdzie wstąpił się jako dowódca wojsk holenderskich w wojnie z Portugalczykami.

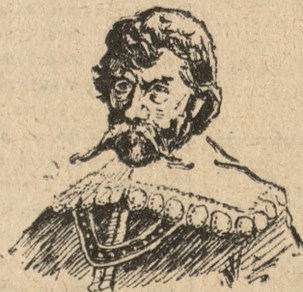
Krzysztof z Arciszewa był człowiekiem niezwykle utalentowanym oraz odważnym żołnierzem i wodzem. Studiował zagadnienia floty i artylerii, był poetą, a nawet autorem traktatu medycznego o podagrze. Osiągając wspaniałe zwycięstwa, nie brał nigdy łupów, a gdy zdobyte miasta składały mu kontrybucje — rozdał wszystko żołnierzom. Jak pisze w swym dwutomowym dziele o Arciszewskim (związany z Wielkopolską przez pobyt w Rogalinie), historyk Kraushar, Arciszewski w liście do króla Władysława IV pisał: „Obierając sławę, nie miałem nigdy czasu za pieniądze mi się ubiegać. Jakoż i dotąd byłoby mnie Bóg przy sławie zostawił raczył, miły by mi był i koniec żywota taki, jakim ze świata zszedł Epaminondas Thebanorum Dux, po którym wszystkiego ruchomostwa ro-

zen tylko jeden i kociel w kuchni znaleziono...”

Władysław IV, wielki budowniczy floty polskiej, docenił zasługi Arciszewskiego, udzielił mu amnestii i zaważwał do powrotu do kraju. W akcie nominacyjnym na dowódcę artylerii (Polska nie miała floty wojennej) tak pisał król Władysław IV:

„Od prostego żołnierza rozpoczął służbę wojskową i doprowadził ją do szczytu tak wielkiej doskonałości, że wszedł w grono owych najbardziej nieustraszonych rycerzy, z którymi sam Mars obcuje. Trzy razy dotarł do Indii, do najdalszych zatok i mórz i tak niezwykłą chwałą okrył imię swoje i naród, że zdobył i piastował urząd admirała. Stawał wśród wielu niebezpieczeństw, a zwycięstwa jego daleko i szeroko rozślawiły ocean i Indie pełne jego czynów. Dobiwszy do ojczystych progów, niechaj nie myśli, że w ojczyźnie będzie pomniejszona jego sława, którą okrył obce państwa i polską ziemię.”

Wróciwszy do kraju, Arciszewski brał udział w



niesławnych wojnach koczowniczych, osłaniał odwrot pierzchającej armii, bronił dzielnie Lwowa i zajmował w naradach wojennych jedyną trzeźwą stanowisko. W roku 1656 skończył swoje burzliwe, pełne chwały i upokorzeń życie, a grobem jego stały się zgłiszczona kościółca arianskiego w Lesznie, który spłonił doszczętnie wraz ze złożoną w nim trumną.

W 300 rocznicę jego śmierci, która niedawno minęła, czasopismo marynarki wojennej „Bandera” wystąpiło z wnioskiem o nadanie jednemu z dziesięciotysięczników „budowanych przez nasze stocznie nazwy „Admirał Arciszewski”.

Fr. Hryniewicz

Królestwo telefonu

W Genewie jest więcej aparatów telefonicznych, aniżeli mieszkańców. Cóż, jest to stolica organizacji międzynarodowych, z których każda posługuje się większą ilością aparatów telefonicznych. Poza tym mieszkańcy Genewy, która jest miastem — na odcieku — niezbyt ożywionym, bardzo lubią prowadzić długie rozmowy, uwieszeni przy słuchawce. Z okazji obrad ministrów spraw zagranicznych — ilość rozmów zwiększyła się o nieporównanie stosunkowo, 4 proc. Jest to niewiele, jeśli zważyć, że 300 linii telefonicznych łączy Genewę z całym światem. (Jr)



Słynny „Disneyland” na przedmieściu Los Angeles — to wesołe miasteczko na ogromną skalę. 100.000 osób — dzieci i dorosłych — przewija się tygodniowo przez tę krainę baśni. Jedną z atrakcji jest miasteczko amerykańskie z roku 1900. Pojazdy oczywiście z tego okresu, publiczność — autentyczna, dzisiejsza.

Przedstawia my młodzieńca i pełną uroku aktorkę francuską Christine Carrère, która zdobywa sobie coraz większą popularność.

FILM



fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

NIE TYLKO „TALERZE“...

Opracował: A. Trepka

Kazimierz Zaleski, polski badacz spraw związanych z „latającymi talerzami”, ustanowił taki oto podział tych tajemniczych przedmiotów:

1. Awiomatki — kształtu cygar, torpedy bądź wrzeciona. Obserwowano je przeważnie na znacznych wysokościach. Przeciętna ich długość waha się od 180 do 350 m.

Najczęściej mają barwę srebrzystą. Średnią prędkość ustalono przy użyciu radaru: 15 tysięcy km/godz., notowano jednak znacznie większe szybkości. Lot pozbawiony gwałtownych ewolucji.

2. Aparaty w kształcie dysków. Są to właśnie klasyczne „latające talerze”. Można wśród nich rozgraniczyć trzy typy, przyjmując kryterium rozmiarów: a) od 20 cm do kilku metrów, b) od 15 do 30 m i c) powyżej 30 m.

Wszystkie odznaczają się zasadniczo barwą srebrzystą, w czasie przyspieszenia i hamowania zmieniają kolor. Posiadają jednak zdolność świecenia w bardzo szerokich granicach. Przeciętna szybkość ustalona pomiarami radarowymi wynosi około 11 tysięcy km/godz. Notowano jednak prędkości sięgające 70 tys. km/godz. Uderza niesamowita ekwilibrystyka ewolucji — błyskawiczne przyspieszenie (bądź hamowanie), nagłe zwroty — nawet pod kątem 180°, zdolność pionowego startu i lądowania, jak równie opuszczania się w sposób przypominający spadanie liścia. Loty pojedyncze bądź eskadrami — przeważnie w szyku litery V lub „drabiny”.

3. „Cygara”, „torpedy”, „wrzeciona” — mniejsze niż awiomatki. Długość ich waha się w granicach od 30 do 60 m.

Barwa srebrzysta o metalicznym odcieniu. Szybkość przeciętna 15 tys. km/godz. maksymalna 24 tys. km/godz. Obserwowano prawie

styczną jaskrawą barwą zieloną. Pojawiały się jednak i innych kolorach.

Wymiary trudne do określenia, właściwości fizyczne mało zbadane. Odznaczają się zazwyczaj bezgłośnym lotem. Biją wszelkie rekordy prędkości. Niekiedy gwałtownie eksplodują — najczęściej bez towarzyszenia dźwięku.

☆

Na podstawie kilkumiesięcznych obserwacji w USA ustalono, że statki przestrzenne w kształcie cygar, torped lub wrzecion — stanowią lądowiska bądź macierzyste bazy „latających talerzy”: wypuszczają je ze swego wnętrza i z powrotem przyjmują na pokład. Odtąd określenie awiomatka, dziś powszechnie używane przez ufologów, zaczęło utrwalac sobie prawo obywatelskie.

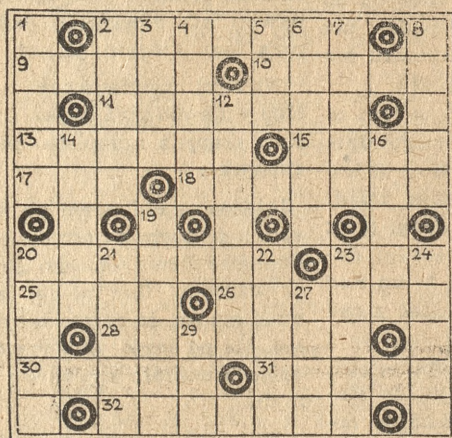
Również astronom M. K. Jessup uważa, że te gigantyczne konstrukcje przestrzenne stanowią miejsce stałego pobytu wszelkiego rodzaju mniejszych latających obiektów, robących wypadki do niższych warstw atmosfery.

Jego zdaniem, siedliskiem awiomatek jest przestrzeń, rozciągająca się pomiędzy Ziemią a Księżycem. Hipotezę swoją opiera na setkach obserwacji astronomicznych i rachunkowym ich opracowaniu.

Jessup wiąże te wywody ze swoją hipotezą o istnieniu „zerowych punktów grawitacji”. Jest to hipoteza dotąd nie sprawdzona, dlatego rezygnując z obszerniejszego wyliczania jej. Wspomnę tylko, że — w myśl jej założeń — istnieje w układzie Ziemia — Księżyc strefa, w której siły grawitacyjne wzajemnie się znoszą.

KRZYŻÓWKA

ułożył: LAR, Poznań



Poziomo: 2 — ptaszek domowy, 9 — biedna, 10 — płaszcz dętki, 11 — safian do oprawy książek, 13 — pojazd morski, 15 — ozdoba lisa i wiewiórki, 17 — najdłuższy dopływ Renu, 18 — zastrzeżenie, 20 — pozer, 23 — wykonuje wyrok, 25 — imię Chacaturiana, 26 — złe nawyki, 28 — muzulmański miesiąc postu, 30 — skupisko domów, 31 — uczony Żyd (rok 50—137), któremu przypisuje się słowa „nie nowego pod słońcem”, 32 — chrześcijanin.

Pionowo: 1 — internat, 2 — wróg wczasowiczów nad jeziorami, 3 — różnobarwnie prążkowany kamień ozdobny, 4 — prawy dopływ Bugu, 5 — okres czasu, 6 — filozof grecki, 7 — wielkopolskie miasto górnicze, 8 — służy do bujania się, 12 — instrument w kształcie gęsiego jaja, 14 — stara moneta używana dawniej w Polsce, 16 — w brydżu młodszy od damy (wspak), 19 — kosmetyk do włosów, 20 — imię Chodkiewicza, 21 — drewniany budynek, 22 — w dalszym ciągu, 23 — hobby, 24 — absolutny władca, 27 — niezbędne w zimowej alpinistyce, 29 — śmierć króla szachowego.

Rozwiązania prosimy nadsyłać (z dopiskiem „krzyżówka”) do dnia 2. 7. Jako nagrody rozlosujemy nowe książki.



Bohaterska dziewczyna

Osiemnastoletnia studentka, Shirley O'Neill wybrała się ze swym kolegą, Albertem Koglerem w pobliże mostu Golden Gate w San Francisco, aby zażyć morskiej kąpeli. Kiedy odплыnęli około 100 m od brzegu, Albert zaczął przeraźliwie krzyczeć. Przestraszona studentka podплыnęła bliżej. „Wracaj natychmiast na brzeg!” — krzyczał Kogler. — To rekin!”

Dziewczyna jednak nie usłuchała przestrogi. Podплыnęła do kolegi, wokół którego woda zabarwiła się już na czerwono, i przyholowała go do brzegu. Niestety — Kogler, w wyniku ciężkich ran, zmarł w szpitalu. Bohaterska dziewczyna odniosła jedynie szok nerwowy.

Traszkirejsy

Pan kapitan pojechał do Aten, pan porucznik bawi w Tallinie, i pan bosman zwyczaj już ma ten, że raz po raz na morze wypłynie. Płyną przeto, jak widzicie sami, do miast różnych i do portów wielu; Tęsknią żony, tęsknią za mężami, a więc płyną też. Do Grand Hotelu.

GRA

Niektórzy pragną reaktywować kasyno gry w Sopocie.

Nad naszą słoną zatoką od pracy ziemia aż drży! Nie ma tam gry na zwłokę! Jest — na kasyno gry.

Wł. Scisłowski

Mieszanka morska

Czy wiecie, jak wygląda wieloryb? No to posłuchajcie! W wydanej trzy czwarte wieku temu książce o pielgrzymce do Ziemi Świętej brat Dominik Koczur, bernardyn z Kalwarii Zebrzydowskiej, przedstawił go tak:

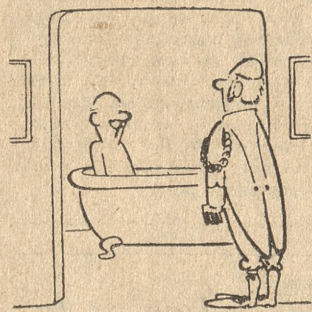
„Ma dwa skrzydła niby wasy, które może rozkładać od siebie, długie zaś wasy są w sposób siatki, jakto na przykład widzimy rybaków zastawić wincirze dwiema skrzydłami pod szyją winciora na ryby, to samo wieloryb towi sobie, stojąc rozkłada sobie te siatki, któremi przygania ku sobie do paszczy drobne rybki i różne owadki, których mnóstwo w morzu na dnie, a potem znowu ich składa i tem żyje.”

✱

Na temat skapstwa Szkotów krąży liczne legendy. Opisany wypadek mógłby całkowicie obalić te obalające, gdyby nie fakt, że zdarzył się w czasie ostatniej wojny.

W okresie intensywnego działania niemieckich okrętów korsarskich na Atlantyku, jeden ze statków angielskich znalazł się w niebezpieczeństwie. Jego kapitan, Szkot, będący równocześnie właścicielem statku, wysłał rozpaczliwe SOS. Znajdujący się w pobliżu brytyjski okręt podwodny doniósł mu, że za chwilę storpeduje nieprzyjaciela. Czas upływał a niemiecki „raider” znajdował się zaledwie w odległości 4000 jardów od statku i groziło, że każdej chwili otworzy nań ogień. Mijały minuty. „Raider” zbliżył się na odległość zaledwie 2000 jardów. Każda salwa jego dział byłaby trafna. Wtedy szkocki kapitan stracił cierpliwość i zwrócił się do swego radiotelegrafisty: „Daj znać, by okręt podwodny natychmiast storpedował „raidera”. Koszt torpedy pokrywam osobiście!”

(zap)



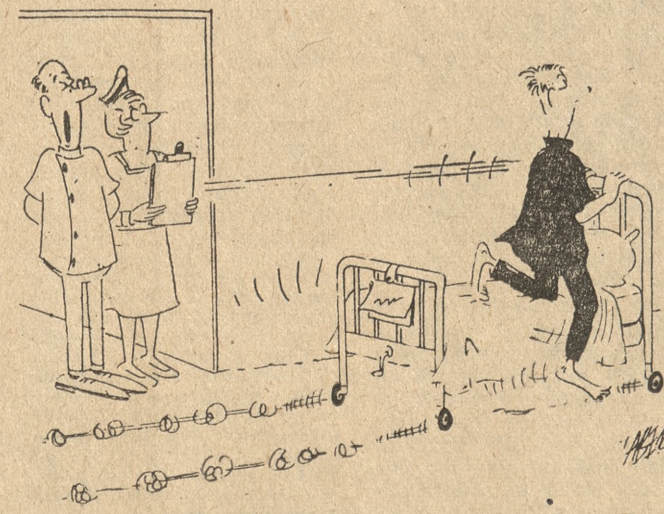
— Janie, chciałbym usłyszeć pieśń marynarzy!



Zbieracze znaczków o tematyce harcerskiej wzbogacili ostatnio swoje zbiory o szereg ciekawych eksponatów.

Z okazji Jamboree Skautów Pacyfiku, ukazał się w Nowej Zelandii ciekawy znaczek z podobizną ptaka kiwi. Poza tym ciekawe znaczki harcerskie wydała poczta Pakistanu. Niżej prezentujemy Czytelnikom 40-piastrowy znaczek Syrii, poświęcony III Panarabskiemu Jamboree. Seria składa się z dwóch znaczków o jednakowym rysunku, przy czym znaczek za 35 piastrow jest brązowy, za 40 piastrow — niebieski.

Mgr L. K.



— Zdaje się, że tego możemy już odesłać do domu!



Awiomatka, która właśnie wypuściła ze swego wnętrza 6 „latających talerzy”. Na zdjęciu wykonanym 2 minuty wcześniej, to wielkie „cygaro” było samotne. Obserwacja z 5 marca 1951 roku.

tak samo zadziwiającą zdolność manewrowania jak u poprzednich kategorii.

4. Kule ogniste, odznaczające się przeważnie charaktery-

Zależnie od położenia tych dwóch ciał kosmicznych zarówno w stosunku do siebie jak i do Słońca, „zerowy punkt grawitacji” w czasie różnych faz Księżyca znajduje się w rozmaitych miejscach — jednak zawsze wewnątrz orbity Księżyca.

Ciekawe światło na to zagadnienie rzucają pierwsze wyniki badań amerykańskiej rakiety, która w październiku 1957 roku ustaliła rekord wysokości — 6400 km. W „Trybunie Ludu” z dnia 23. 4. 1958 roku czytamy na ten temat: „Wstępna analiza danych zdaje się wskazywać, że w miarę wznośnienia się siła ciążenia nie zmienia się zgodnie ze znanymi wzorami fizycznymi, lecz podlega pewnym nie wyjaśnionym jeszcze wahaniom”.

Jessup nawołuje badaczy „latających talerzy”, aby obserwowali to dziwne miejsce, nie pewne jeszcze co do swego istnienia, a już traktowane jako kosmiczna baza pilotów niezidentyfikowanych obiektów latających.

DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ